

Daria Urban i Wojciech Kostyk

# Camino de la Plata


Z Sewilli  
do Santiago  
starożytnym szlakiem

WYDAWNICTWO WAM



# Od autorów

Dawno, dawno temu był sobie Żaba.



Opowiadał o dziwnej drodze, gdzieś na północy Hiszpanii; o przemierzaniu setek kilometrów na piechotę, zawracaniu niezliczoną ilość razy w poszukiwaniu szlaku; o bolących stopach i żółtych strzałkach. I mimo że jego opowieści nie były zbyt składne, a zrozumienie tego, co miał na myśli, stanowiło czasami nie lada wyzwanie, zaszczerpił w nas chęć podróżowania. Nie byliśmy do końca pewni, o co chodzi w tym całym Camino, ale postanowiliśmy i my spróbować sił na drodze do Santiago.

Tak zrodziła się nasza fascynacja podróżami. Spontaniczna decyzja sprawiła, że z czasem nie byliśmy w stanie wyobrazić sobie innego sposobu na życie. Każdą wolną chwilę wypełnialiśmy planowaniem kolejnych wypraw, w przerwach sięgając do książek takich klasyków, jak Arkady Fiedler czy Tony Halik.

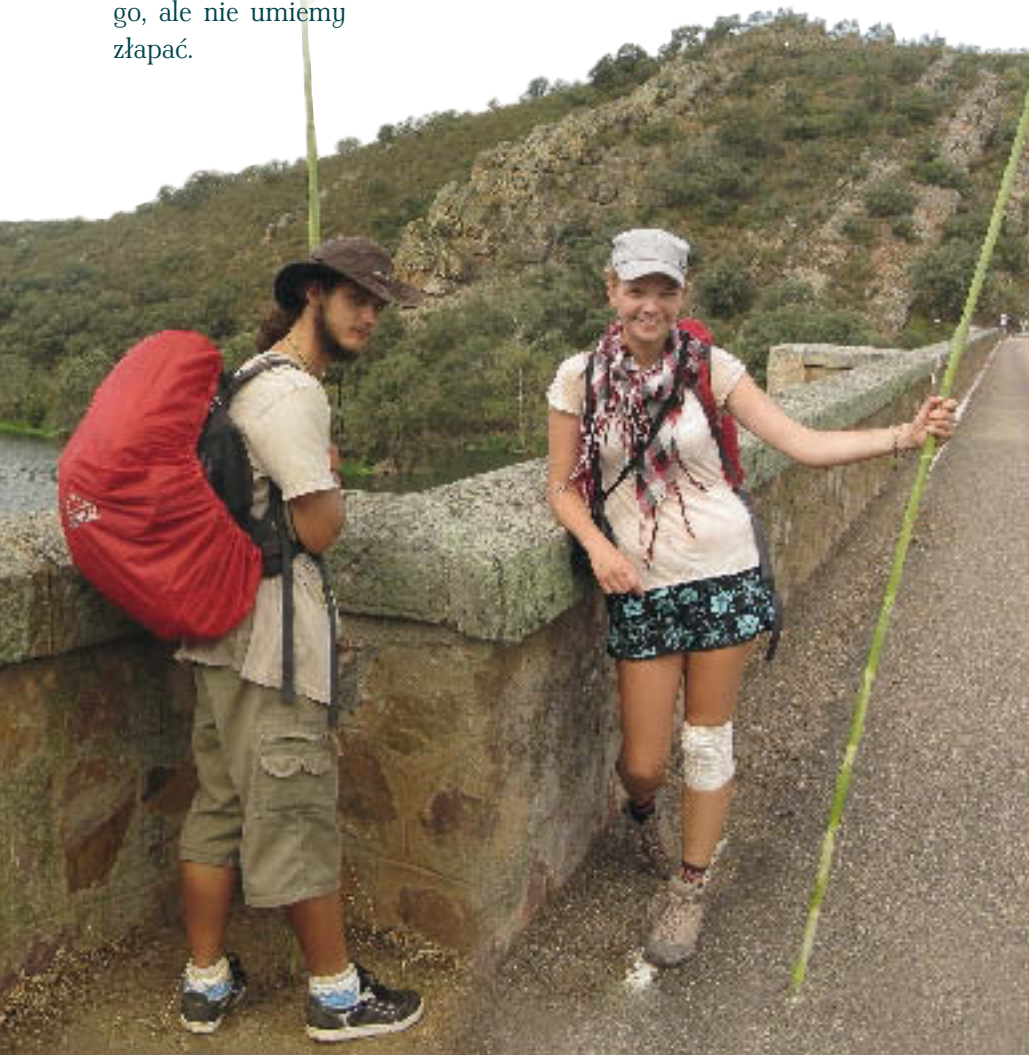
Mimo wielu niezwykle inspirujących relacji z podróży różnymi środkami lokomocji ciągle najbliższe były nam piesze eskapady, dlatego niedługo po naszej pierwszej wyprawie Szlakiem Francuskim wyruszyliśmy na Camino po raz drugi. Kolejnym wyzwaniem, wybranym spośród wielu pielgrzymkowych szlaków Europy, stała się Via de la Plata. I to właśnie opowieścią o tej trasie postanowiliśmy podzielić się z wami, Drodzy Czytelnicy.

Po co wyruszać z domu i włożyć się tyle kilometrów piechotą? Ktoś powiedział, że zadający takie pytania najprawdopodobniej nigdy w pełni nie zrozumie odpowiedzi. My jednak próbowaliśmy ten fenomen wytłumaczyć, a wyjaśnienia zaczęły nam zabierać coraz więcej i więcej stron. Bo kilka zdań to zdecydowanie za mało, by opowiedzieć o zimnych, pachnących eukaliptusem



galisyjskich mgłach i o obezwładniającym skwarze andaluzyjskiego popołudnia. Opisać pulsujący ból stawów i psychiczne zniechęcenie piętrzącymi się wciąż przed wędrowcem kilometrami. By przelać na papier zachwyty nad wschodzącym słońcem, radość z rozmów ze spotkanymi ludźmi i nieustające zaskoczenie tym, co przynosi szlak.

W tym chaosie doznań, trudności i radości przemyka gdzieś prawdziwy sens Drogi. Nie da się go dokładnie uchwycić, zmierzyć i zdefiniować, bo gdy już wydaje się, że od dojścia do sedna dzieli milimetry, on gdzieś się wymyka. Wyczuwamy go, ale nie umiemy złapać.



Może to literacka porażka dwóch samozwańczych podróżników-pisarzy, a może właśnie mądrość Camino, która każdemu daje możliwość odkrycia samemu po raz kolejny tego, co choć już tysiąc razy wcześniej było odkrywane, nadal porusza tych, którzy sami chcą doświadczyć i zrozumieć.

Dla kogo te wspomnienia ze szlaku? Dla każdego: niezależnie od wieku, przekonań, wyznania, kondycji i poziomu determinacji w chodzeniu przez miesiąc w śmierzących butach. Książka jest dla każdego, bo Droga jest dla każdego. Przyjmuje wszystkich i wszystkim coś daje. Nie zawsze to, czego chcą, ale zawsze to, czego potrzebują.

Żaba opowiadał nam o Drodze. Nie po kolei, niezbyt dokładnie i nie zawsze zrozumiale, ale te jego opowieści były naszym pierwszym krokiem na Camino. Może biorąc do ręki tę książkę, niejeden Czytelnik będzie musiał się sporo namęczyć, by zrozumieć, co też dwoje wędrujących gdzieś tam w świecie pielgrzymów miało na myśli. Mamy jednak nadzieję, że podobnie jak historie Żaby i nasza opowieść stanie się dla Czytelników początkiem Camino, niezależnie od tego, czy będzie to droga po hiszpańskich uliczkach, czy po zaułkach wyobraźni.



Daria, 13.08.2011

Szliśmy już od wielu godzin. Żar lał się z nieba, zapasy wody niebezpiecznie kurczyły, a chrzęst rozpadających się pod podeszwami grudek piasku i kamieni przypominał dźwięk rozgniatanych w moździerzku włoskich orzechów. Ciężkie powietrze wydawało się osaczać, a promienie słońca niemal dotykać, niczym lepki oddech wkradającego się w naszą przestrzeń intruza. Strużki spływającego po karku potu sprawiały, że rozgrzane ciało na krótką chwilę przesywał zimny dreszcz. Obrazy przed oczami rozmazywały się, nie wiadomo czy ze zmęczenia, czy jedynie od łez wywołanych pchającym się bez przerwy do oczu piaskiem. Zgarbiony pod ciężarem plecaka kręgosłup pulsował jednostajnym bólem. Nogi, na co dzień dobrze naoliwiona maszyna, stały się opornie działającymi trybikami, które na skutek zużycia straciły lekkość i sprężystość, trzeszcząc przy każdej zmianie położenia. Skóra na stopach, nieustannie pomarszczona od panującej w butach wilgoci, pełna była otarć i ciężko gojących się w takich warunkach ran.

Z opuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym we własne buty i w nieprzerwanej od wielu kilometrów ciszy, stawialiśmy kolejne kroki. Ciężko nazwać to, co czuje się w takiej sytuacji. Może dlatego, że nie czuje się nic. Pustka, całkowite wypalenie wszystkich emocji, myśli, marzeń, ambicji. Liczy się tylko to, by zmęczone ciało pokonało następny metr drogi, a potem jeszcze jeden i jeden. Umysł opróżniony ze wszystkiego, co zbędne. Nie ma sensu tracić energii na coś, co nie pomaga w marszu. Trzeba po prostu iść – to jedyne zadanie.

Jest jednak w tej ogłuszonej świadomości, dziwnej umysłowej pustce jakaś przestrzeń. Przestrzeń na to, by zadać sobie te trudne, choć najważniejsze pytania o sens, o powód, o istnienie. Być może zredukowanie ciała do poziomu maszyny, nakierowanej od setek kilometrów tylko na jedno zadanie, pozwala na uwolnienie umysłu, który uciekając przed palącym słońcem, podąża w stronę rzeczywistości o wiele głębszej, starając się odnaleźć Prawdę. Czy przez ten tysiąc kilometrów zbliżyliśmy się do niej chociaż na krok? Nie wiem, ale wierzę, że wszystkie te wysiłki nie poszły na marne.

